

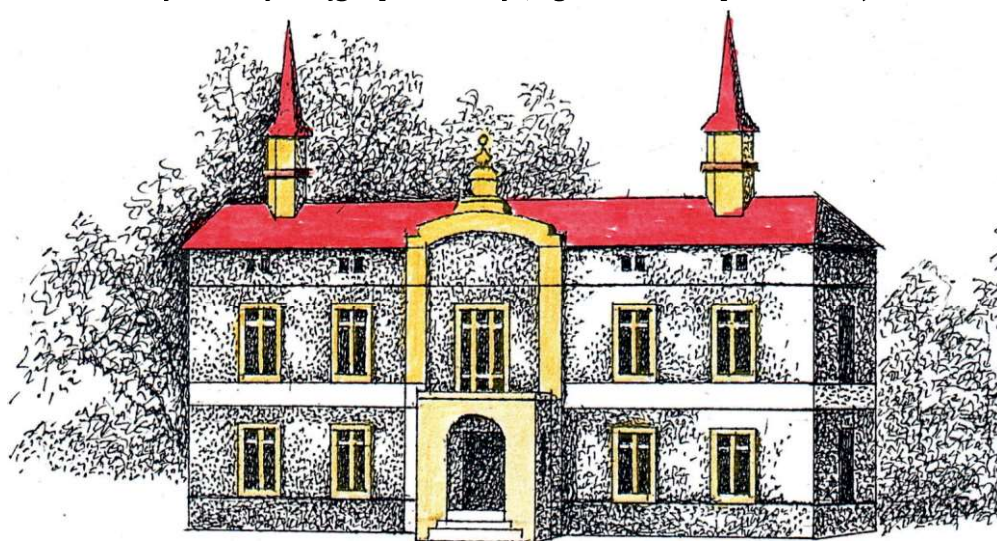
Dwór pszowski

Dwór pszowski został wybudowany około XV wieku. Osią dworu była sień z wejściem na wprost. W środku najważniejsza była izba stołowa, również bawialnia i salon. Były też i mniejsze pomieszczenia przeznaczone na chowanie zapasów. Dwór stał zwrócony na „jedenastą godzinę” to znaczy tak, by jego fasada była pełna słońca wtedy, gdy ono nie dobiega jeszcze południa. Tym sposobem wszystkie strony domu miały słońce. Dach był wysoki i spadzisty, kryty gontem, później dachówką. Mogły być wieżyczki i dachowe okienka. Obok dworu stała solidna komora przeznaczona na różną zbędną w dworze ruchomość. Po lewej stronie długiego placu stały w jednym ciągu ogromne stodoły, chlewy i stajnie o dwuspadowych dachach. Natomiast z prawej mieściły się warsztaty, kuźnie, wozownie i składy. Dookoła dworu sędziwe kasztany i smukłe topole otaczały rozległe obejście. Od północnego wschodu przechodziły w romantyczny park, pochylając się razem z terenem w stronę centrum wsi.

W głównej izbie wielka kanapa. Podłogę zakrywały dywany, a gęste firanki w oknach nie przepuszczały światła. Na ścianach wisały przeróżne obrazy. Pokoje oświetlano świecznikami, które stały na stołach lub były zawieszane na ścianach. W ciągu kolejnych lat dwór przebudowywany i upiększany był według upodobań i wymagań zamieszkujących go właścicieli. W przeszłości mógł też mieć wygląd zbliżony do rezydencji zamkowej, ponieważ i ta nazwa przetrwała do naszych czasów. Na dwór pszowski chętnie zaglądali książęta raciborscy w czasie polowań w okolicznych lasach.

Życie dworskie toczyło się według ustalonych zasad. Przeważnie majątkiem zarządzali pełnomocnicy właścicieli, czyli zarządcy. Rozwój i bogactwo wsi uzależnione było od mądrości i zaradności właścicieli. Błędne decyzje i zaniedbania odbijały się dotkliwie w codzienności wiejskiej. Zdarzało się, że właściciele trwonili majątek, przegrywali go w karty lub bezmyślnie eksploatowali wieś doprowadzając ją na skraj bankructwa.

Kilka razy w swojej historii dwór był spalony. Podczas najazdów obcych wojsk, czy też przez zaproszenie ognia przez właścicieli lub służbę. Zawsze podnoszony był z ruiny i na nowo odbudowywany. Był świadkiem wielu wydarzeń historycznych, jakie przetoczyły się przez ziemię pszowską. Czesi organizując wyprawy łupieżcze na Śląsk, deptali pszowskie pola, zaglądali do chat. Nie lepiej obeszlę się z dworem Tatarzy i przy okazji niejedna chata poszła z dymem. Wojny śląskie nadwyrężyły wieś szczególnie okrutnie. Rozszałała się zaraza i głód. Dwór przetrwał wszystko, był ciągle potrzebny. Jego śmierć dopiero nadejdzie.



Zdewastowany i niepotrzebny w latach 70-tych ubiegłego wieku został zburzony. Na jego fundamentach stoi obecnie „Biedronka”

Jeden dzień z życia pszowskiego dworu 300 lat temu

Opowiadanie

Widok z dworskiego ganku był cudowny. Przy pięknej pogodzie ciągnął się zarysem Beskidu Śląskiego, aż po same Czechy. Trochę z prawej strony majestatyczne wieże kościelne, dalej kominy kopalni, aż po krzyżkowickie wzniesienie.

Jednak stojącemu na dworskim ganku 300 lat temu widok przedstawiał się zgoła inaczej. Trochę ubożej o te wieże kościelne i kominy kopalni.

Stojąc na ganku o świcie 300 lat temu, patrzącemu ukazywał się malowniczy wiejski widok. Chaty oświetlane pierwszymi promieniami słońca, otulone poranną mgłą, wyglądały jak z bajki. Przytulone do ziemi z wielkimi słomianymi czapami, bieliły się świeżo malowane wapnem, otoczone kwiatami szaleju i malwy.

Ze stajni dworskiej dochodziło rzenie przebudzonych koni. Za skrzypiących wrót stodoły, wytoczyły się drabiniaste wozy, w chlewach krowy głośno domagały się dojenia. Nieznośne koguty piały na głosy z różnych stron gospodarstwa. Służba ospale brała się do codziennych zajęć.

Pod ganek dworu podjechała bryczka, z której wysiadł inspektor. Cekał na hrabiego, który życzył sobie objechać obsiane zbożem pola.

Hrabia wyszedł na ganek, przystanął, porozglądał się przez chwilę. Nabrał głęboko powietrza do płuc i wypuścił, pozbywając się resztek snu. Żwawo ruszył w stronę bryczki, wsiadł, a konie ruszyły kierując się na wschód. Wąska wiejska droga obsadzona po obu stronach lipami, zakręcała lekkim łukiem. Parasol z gałęzi osłaniał podróżnych przed słońcem, utrzymując miły chłód. Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, szumiące zboże. Hrabia mrużąc oczy, z zadowolenia kiwał głową, spoglądając raz w jedną, a raz w drugą stronę. Konie wolno człapały, co raz kierując łby ku zbożu i próbując sięgnąć smacznych kłosów. Zbaczały wtedy nieco z wyżłobionych kolein, ale woźnica sprawnym ruchem lejców przyprowadzał je do porządku. Dalej droga lekko się wznosiła. Hrabia kazał woźnicy się zatrzymać.

Wysiadł z bryczki, podszedł bliżej zboża i wszedł w nie. Nałamał parę kłosów, wymłócił w dłoni i delikatnie wydmuchnął plewy. Ukazały się mu złociste ziarna. Inspektor stojąc trochę z boku, uczynił to samo. Przegryźli ziarna, były twarde. Hrabia wyjął fajkę, naładował tytoniem i zapalił. Po paru szybkich pyknięciach zaciągnął się, przytrzymując chwilę dym w płucach i powoli cienką strużką wypuścił go. Pojechali dalej.

Droga wchodziła w zboże i lekko opadała w dół. Miły cień się skończył. Drzewa, które tu dawniej rosły, jakiś czas temu wycięto, by nie zacieniały rosnących zbóż. Wysoko, w błękitie nieba skowronek wytrwale śpiewał. Wróble stadami siadały na kołyszących się kłosach i zręcznie wyłuskiwały ziarna. Delikatne chabry mieniły się w dojrzałym zbożu świeżym, niebieskim kolorem. Robiło się coraz cieplej. Wjechali w płytki wąwóz, końskie kopyta uderzały w suchą ziemię podnosząc tumany pyłu. Hrabia wytarł spocone czoło i przetarł usta. Wąwóz powoli topniał, aż skończył się zupełnie. Na rozdrożu skręcili w stronę lasu. Ciągący się przed nimi lesisty pas był naturalną granicą dzielącą posiadłość pszowską od radlińskiej. Brzegiem lasu wiodła droga i wiła się tak, jak na to las pozwalał. Przytulona do pni drzew i zacieniona od góry gęstwiną poprzeplatanych gałęzi, sprawiała wrażenie tunelu. Las oddychał chłodem.

Z nieukrywaną radością wjechali w jego cień. Na rozkaz woźnica zatrzymał konie, lejce zawiązał na korbie hamulca i czekał. Konie dyszały, lecz zaraz opuściły łby ku ziemi skubiąc soczystą, chłodną trawę.

W gęstwinie słychać było plusk strumyka. Bijące źródło z głębin ziemi chowało się pod mchem, by trochę dalej wyżłobić sobie wąskie koryto, a ocierając się o wystające korzenie i pojedyncze gałęzy, strumyk szumiął, by zniknąć w gąszczu jeżyn.

Hrabia z inspektorem usiedli opierając plecy o pnie drzew. Rześki chłód szedł z lasu. Woźnica w dzbanie przyniósł leśną wodę, hrabia pił łąpczywie, cieniutka strużka spływała mu po brodzie. Gdy skończył pić, głęboko odetchnął, poczuł miły chłód w żołądku, głowę oparł o pień i zamknął oczy. Po chwili rześisty wąs ruszał się rytmicznie w takt odbywanej drzemki.

Z pszowskiego kościoła dobiegało bicie dzwonu na Anioł Pański. Woźnica przeżegnał się mru-

cząc coś pod nosem. Ucichł ptasi świergot, zmęczony skowronek ukrył się w zbożu, pole falowało gorącem.

W zamku było gwarno. W kuchni panował południowy ruch. Ogień huczał w piecu, rozgrzewając żelazne blachy, potrawy bulgotały i uwalniały zapach. Stara kucharka doglądała pieczeni w brutwanie, umiejętnie odwracając kawał mięsa na drugą stronę i dolewając wody. Kartofle już kipiały. Młoda pomocnica nakładała kiszoną kapustę do misy, ukradkiem podjadając. Koty plątały się pod nogami. W otwartym oknie firanka leciutko falowała. W salonie talerze brzęczały układane na stół, a srebrne sztucze błyszczały na białym obrusie. Zapach gotowanego obiadu snuł się po pokojach.

Hrabia ocknął się i przetaił oczy, wstał. Rozciągając ręce na boki, przeciągnął się sprężysto, parę razy ręką trzepnął po spodniach zrzucając przyczepioną trawę. Inspektor widząc chlebowadwcę zmierzającego w kierunku bryczki, szybko obszedł z drugiej strony i szturchnął woźnicę, ten wyrwany z drzemki szybko pochwycił lejce, poprawił kapelusz i zerkając ukradkiem na wsiadających, czekał na polecenie. Hrabia usiadł wygodnie, a ręce splótł na piersiach. Woźnica cmoknął na konie, które ruszyły ospale, nierówno. Śmignął batem nad łbami, a lejcami uderzył w zady. Powóz ruszył. Jeszcze chwilę jechali w cieniu, później droga z wolna zaczęła wynurzać się spod drzew, odchodząc łukiem na zachód.

Przed nimi ukazał się znaczny obszar skoszonego zboża. Snopy związane w pół, oparte o siebie muskane ciepłym wiatrem schły na słońcu. Słoma schnąc, strzelała. Miodowo – złote kłosa pszenicy z nadmiaru ziarna pochyliły się ku ziemi, co raz wypuszczając ziarna. Dalej, schylone kobiety zręcznie zwijały powrósła i wiązały nimi skoszoną pszenicę. Kośnik osełką sprawnie pociągał ostrze kosy, stał zajęczła. Po chwili jednakowym ruchem ramion znowu machał nią tnąc zboże, kosa szemrała, goniła łukiem nisko nad ziemią tam i z powrotem, kładąc zboże w równy pokos. Ptaki zlatywały się na świeże ściernisko, szukały ziaren i robactwa. Co raz chmarą podrywały się do góry, by zaraz opaść. Po polnej drodze spocone konie z trudem ciągnęły załadowane zbożem wozy. Na nierównościach koła podskakiwały, a wozy kołysały się i przechylały na boki. Drewno trąc o siebie skrzypiało, słoma szeleściła. Końskie kopyta z wysiłku ryły ziemię, woźnicy umiejętnie ponagłali je do jeszcze większego wysiłku. Mokra końskie grzbiety parowały, a nieznośne muchy natarczywie oblegały czułe miejsca.

Zbliżał się czas dojenia. Pastuchy spędzały krowy z pastwisk do chlewów, a zwierzęta ponaglane przez psy raz po raz przyspieszały.

W kuźni wytrwale dzwonił młot na przemian z sykiem chłodzonego żelaza. Drewniane kłody pękały w ogniu i strzelały wiązkami iskier. Ostry zapach chłodzonej stali wydobywał się z kuźni. Było bezwietrznie i parno. Po chwili wjechali na dziedziniec dworu. Pierwsze przywitały ich psy, szczekały i biegały wokoło. Woźnica batem je przeganiał.

Hrabia wszedł do salonu. Przygotowany na stole obiad wyglądał apetycznie, w tej samej chwili poczuł głód. Poszedł się przebrać. Tym czasem salon zapełnił się biesiadnikami. Łyżki stuknęły o dno talerzy, zrobiło się gwarno. Psy z podwórza przeniosły się pod stoły i oczekiwały upuszczonych smakołyków.

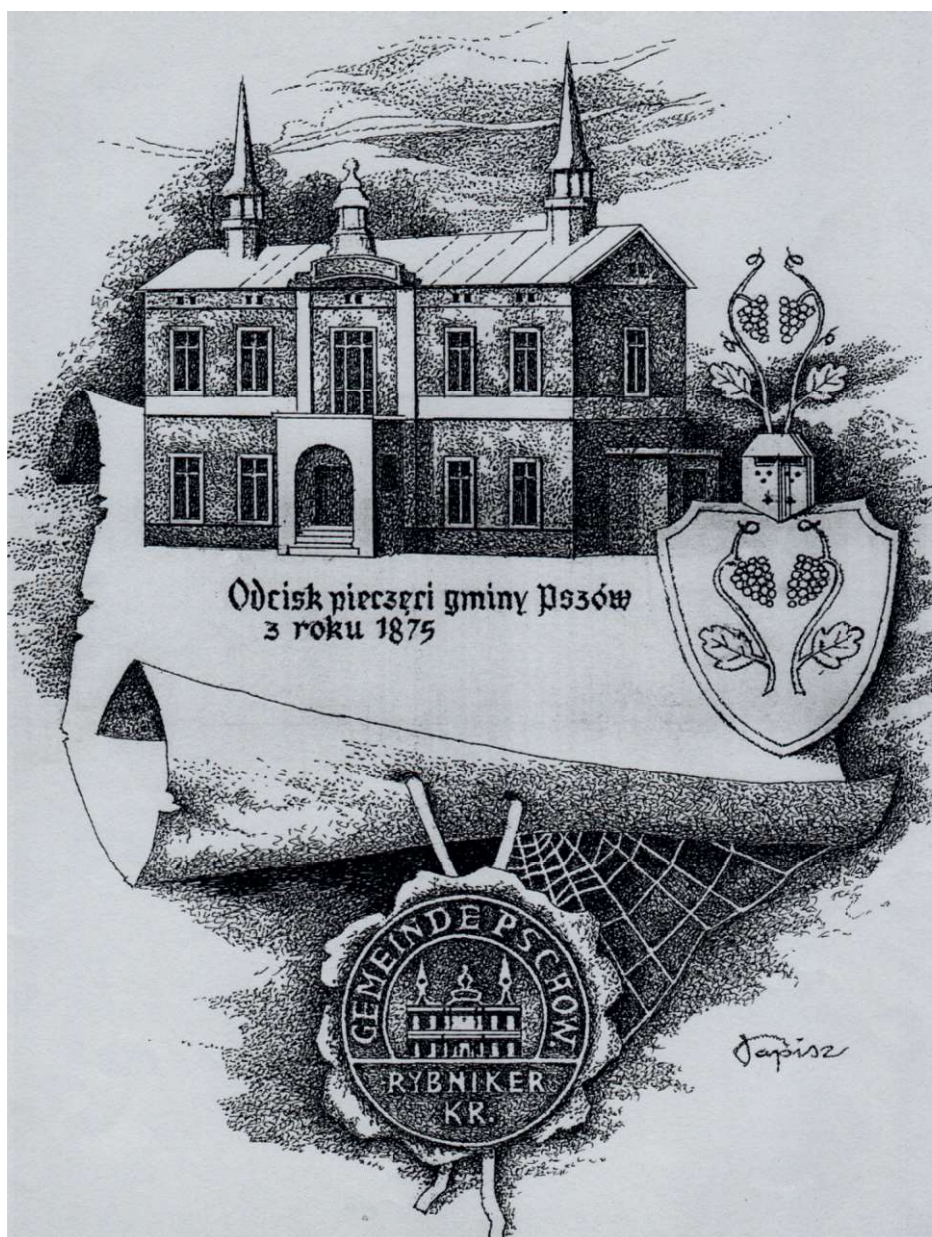
Podwieczorek podano na tarasie. Wokół roznosił się zapach świeżo parzonej kawy. Niebiesko-złote staroświeckie filiżanki, rozstawione na bielutkim obrusie, opowiadały swymi rysami o wieloletnich przeżyciach. Przed nimi roztaczała się zieleń ogrodu, gdzie drzewa jak zalotne dziewczyny poprzysiały szeregiem, obsypane ponad miarę kolorowymi owocami. Wszystkie zioła, kwiaty, krzewy wrzucały co miały najdroższego do wspólnej puli zapachów. Pachniało macierzanką, to miętą, to znów jakby rumiankiem...

Pod wieczór w jednej chwili zrobiło się ciemno. Zygzakowata błyskawica przeszła niebo, rozdarła go na pół i weszła w ziemię. Lunęło. Ciepły deszcz walił z całej siły, burza zawisła nad wsią. Raz po raz niebo wybuchalo czerwienią, uwalniając przeraźliwe zgrzyty i głucho dudnienia. Błyski straszyły siedzące na dachu kościelnym gołębie, a one wtedy z rozpostartymi skrzydłami gruchając, poczynaly gonić się wokół rozłożystych kasztanów. Deszcz falował i już po chwili woda płynęła całą szerokością drogi. Zabierała ze sobą wszystko co było luźne i co potrafiła unieść. Wielkie silne krople rozczochrały trawy, a zmoknięte liście drzew wisały bez życia.

Nagle, od południa dmuchnęło, drzewa przechyliły się na północ, jakby zaraz miały wyjść z ziemi. Nieskoshone zboże kładło się przed wiatrem, bite deszczem wtulało się w ziemię.

Od dworu woda pędziła drogą w stronę centrum wsi, zakręcała gwałtownie w samym środku na południe, by gnać coraz szybciej w dół ku starej wsi. Struga biegnąca z lewej strony drogi nie mieściła nadmiaru wody, przelewała się i pędziła całą jej szerokością. Niżej teren stopniowo łagodniał, aż na wysokości kościołka Świętego Krzyża stawał się płaski. Od tego miejsca ciekająca struga zasilala duży staw i ukośnie odsuwała się na wschód, w stronę Radlina. W końcu silne podmuchy rozgoniły ciężkie chmury deszczowe, szarpiąc je na strzępy. Zepchnięte na jedną stronę nieba, zabrały ze sobą deszcz. Powoli niebo jaśniało, wiatr łagodniał, aż zamarł zupełnie. Z nastaniem nocy wieś cichła. W chatach gdzieś błyskały trzęsące się blade płomyki. W ciepłą noc na licznych rozlewiskach nieśmiało kumkała żaba jedna, druga, trzecia, by po chwili już cały chór rechotał głośno i donośnie.

Księżyc wolno przewalał się po niebie, oświeciał wioskę, to chował się za drobnymi chmurami, gasnął, by po chwili znowu zaświecić. Powoli, bardzo powoli pochylał się ku drugiej stronie nieba.



Zachował się odcisk pieczęci na dokumencie z 1875 roku. Na jej podstawie artysta – malarz Henryk Topisz narysował prawdopodobny wygląd dworu. Z prawej strony herb Lichnowskich, którzy byli właścicielami Pszowa w latach 1774 – 1806 roku

Mieszkańcy obszaru dworskiego



W 1886 roku na obszarze dworskim mieszkało 151 mieszkańców. W 1915 roku niewiele mniej, bo 146 mieszkańców. Pomimo dużego rozwoju miejscowej kopalni „Anna” i zapotrzebowania nowych rąk do pracy, liczba pracujących na „pańskim” w zasadzie nie uległa zmianie. Można wnioskować, że ludność miejscowa nie garnęła się do pracy w kopalni. Dla większości górnictwo ciągle było czymś abstrakcyjnym i nieznanym. Tajemnicze odgłosy

jakie dochodziły z kopalni napełniały strachem. Z zapartym tchem przysłuchiwano się niesamowitym opowieściom pracujących tam górników o ciemnych, krętych chodnikach, korytarzach, skarbniku pilnującym czarnych węgla, czy złowrogich pomrukach górotworu. Kiedy wieczór zapadał i znużeni powracali „z pańskiego” do swoich mieszkań zachodzili do karczmy, w której już siedzieli górnicy i przy piwie snuli niesamowite historie jakie im się przydarzyły na dole w kopalni. Hardzi i dumni, że wykonują trudny i odpowiedzialny zawód, z jeszcze większą fantazją wymyślali niestworzone historie, które pobudzały wyobraźnię słuchaczy. Tak zrodziły się opowieści, które głęboko wniknęły w świadomość braci górniczej, a po latach stały się podłożem do pięknych legend.



Na unikalnym zdjęciu pracownicy dworscy z początku XX wieku. Charakterystyczny roboczy ubiór kobiet składał się z jakle i roka, na którą zakładano zopaskę, na głowę obowiązkowo zawiązywano chustę. Wszystkie kobiety są po bosoku

Zabudowania dworu pszowskiego już tylko na starych zdjęciach



Jedyne zachowane zdjęcie dworu pszowskiego. Doprowadzony do ruiny ostatecznie został zburzony



Ogromna stodoła dworska, w której mieściły się snopy zbóż prawie z całego majątku dworskiego. Późnym latem czeladź dworska cepami młóciła po kolei zgromadzone rodzaje zbóż. Z lewej strony widać ganek dworu. Pranie wiszące na balkonie i stojąca dziewczyna przy ganku świadczy o tym, że dwór był jeszcze zamieszkały



Zrujnowane i opuszczone stajnie i chlewy dworskie w oczekiwaniu na wyburzenie



Ten sam los spotkał dworskie budynki mieszkalne